

DYLOGIA POMÓŻ MI #1

pomóż mi odejść

SANDRA
WOLUNTARSKA

Rebelle 
WYDAWNICTWO

Copyright© Sandra Woluntarska
Copyright© by Wydawnictwo Rebelde
All right reserved
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
LESZNO 2026

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz @daj.mi.slowo

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska, Ewa Woźniak

Opracowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Skład i opracowanie ebooka:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-42-5


WYDAWNICTWO



DYLOGIA POMÓZ MI #1

pomóż mi odejść

SANDRA
WOLUNTARSKA

Rebelle ♡
WYDAWNICTWO



*Dla tych, którzy nie mają już siły walczyć.
Dla tych, którzy zasypiają z myślą: „pomóż mi odejść”
i budzą się rozczarowani, że wciąż tu są.
To jeszcze nie czas, by postawić kropkę.
Kolejny rozdział Waszej historii czeka na napisanie.*

Prolog

Gdybym wiedziała, że przybiegniesz, to nie skoczyłabym z tego klifu.

Nie dławiłabym się słoną wodą, która odbierała życie kawałek po kawałku, sekunda po sekundzie. Nie próbowałabym za wszelką cenę zaczerpnąć powietrza, wpuszczając płyn do płuc. Nie czułabym tego rozrywającego od środka, okrutnego bólu.

Nie napisałabym listu, nie włożyła go do plastikowej skrzynki i nie zostawiła w tym ważnym dla mnie miejscu. Nie uśmiechnęłabym się, pozwalając łzom spłynąć po policzkach i wylądować na miękkim mchu.

Gdybym wiedziała, że pędziłeś do mnie na złamanie karku, to czekałabym na ciebie.

Stałabym nad urwiskiem, wpatrując się w najpiękniejszy zachód słońca, jaki dane mi było zobaczyć, aż usłyszałabym za sobą dźwięk kroków. Odwróciłabym się i spojrzała prosto w twoje oczy, nie powstrzymując łez bólu i ulgi, pomieszanych ze sobą jak splątane pajęczne nici.

Podeszłabym ostrożnie, z wahaniem i pokazała, że już nie chcę walczyć. Nie chcę prowadzić wojny z tobą, sobą i całym światem.

Może padłabym na kolana albo w twoje objęcia, poddała się losowi i wszystkiemu, co ma się wydarzyć. Pozwoliłabym ci się mną zaopiekować, wyciągnąć z tej bezdennej rozpacz.

Gdybym wiedziała, że przyjdiesz, to nie zniknęłabym z tego świata szesnastego lipca dwa tysiące dwudziestego czwartego roku.



Chyba od zawsze wizja śmierci podobała mi się bardziej niż myśl o życiu.

Pierwszej nocy po przeprowadzce stałam na jedynym moście w Davenport i opierałam łokieć o barierki. Księżyc ospale sunął po niebie wśród miliardów gwiazd. Ciekawe, czy on również czuł się samotny w tym błyszczącym tłumie.

Oderwałam wzrok od oddalonych o lata świetlne świadków mojego cierpienia. Spojrzałam na ciemną, niespokojną wodę i wsłuchałam w plusk fal objających się o konstrukcję mostu. Myślałam o tym, żeby skoczyć. Tak łatwo jest przejść przez zabezpieczenie, stanąć nad przepaścią i zrobić krok w przód.

Zbyt łatwo.

Moja matka, dumna, stąpająca twardo po ziemi Caroline Harvey, pewnie byłaby zde gustowana tymi myślami. Powiedziała by tylko: „Plecy prosto, podbródek do góry, Katherine”, a ojciec skinałby głową.

Przez następne lata wiele razy zastanawiałam się, czy warto było tamtej nocy obrócić się na pięcie, zostawić most za plecami i wrócić do domu, porzucając myśli o samobójstwie. Gdybym zdecydowała się skoczyć, to wszystko byłoby prostsze.

Czułam chłód metalu przez materiał kurtki, ale nie zabrałam ręk. Nadal uparcie stałam w tym samym miejscu. Myślałam o tym, gdzie i kim będę o tej samej porze za rok.

Czy tak samo będę myśleć o przeszłości? Czy kolejny raz będę się wpatrywać w ciemną wodę, marząc o tym, by mnie zabrała? A może będę szczęśliwa? Albo chociaż moje życie stanie się wględnie normalne?

Według rodziców przeprowadzka miała być dla nas szansą na nowe, lepsze życie, rozwój firmy, nawiązanie współprac, poznanie wpływowych ludzi, zostawienie za sobą wszystkiego, co złe. Ja byłam innego zdania. Z dnia na dzień straciłam znajomych i ulubione miejsca, z którymi wiązały się tysiące pięknych, ale też bolesnych wspomnień. Informacja o wyprowadzce zaskoczyła mnie jak kubeł lodowatej wody wylanej prosto na głowę. Nie chciałam wyjeżdżać i zostawiać tego, co towarzyszyło mi przez siedemnaście lat życia. Nawet przykrych rzeczy.

Niestety nikt nie dał mi wyboru.

Płecy prosto, podbródek do góry, Katherine.

W lutym stanęłam przed piętrowym domem z białymi ścianami i wielospadowym, szarym dachem. Wcześniej budynek widziałam jedynie na zdjęciach, na których również sprawiał wrażenie, jakby nie miał duszy. W takim razie może mieliśmy coś wspólnego.

Przeglądałam się sceptycznie miejscu, gdzie spędzę najbliższe lata.

Dom z zewnątrz prezentował się bardzo ładnie, nie dało się temu zaprzeczyć. Był otoczony idealnie przyciętym trawnikiem, który wyglądał aż nazbyt dobrze jak na tę porę roku – przeszło mi nawet przez myśl, że może poprzedni właściciele potraktowali go farbą, żeby wyglądał jak z pocztówki. Przeczesalam trawę butem. Prawie się uśmiechnęłam na tę absurdalną myśl. Jedynie moi rodzice byliby zdolni zrobić coś takiego, żeby wypaść lepiej w oczach innych. Często musiałam sobie przypominać, że nie wszyscy byli tacy jak oni.

Ścisłałam nerwowo rączkę walizki, w której zamknęłam moje dotychczasowe życie. To zabawne, że miliony sekund, tysiące wspomnień i setki osób, które pojawiły się na mojej drodze, potrafiło zmieścić się w czymś tak niewielkim. Jakby to, co przeżyłam, zupełnie nic nie znaczyło.

Powinłam się cieszyć, że w końcu otrzymam możliwość funkcjonowania po swojemu, bez tych wszystkich ograniczeń, zakazów, nakazów i egzystowania w zamknięciu, ale nie potrafiłam. Dom w Daverton – miasteczku położonym niedaleko Londynu – był jedynie kolejną klatką, z której nie

mogłam uciec. Tym razem jednak pręty błyszcząły szczerym złotem, jakby próbowały przekonać, że to wcale nie więzienie. Nie dałam się na to nabrać.

W rodzinnym mieście planowałam wszystko naprawić, zmienić swoje życie, a zamiast tego zmuszono mnie do porzucenia przeszłości i stworzenia historii na nowo. Jak jaszczurka miałam odrzucić ogon, a potem czekać, aż wyrośnie następny. Kazano mi wyrzucić maskę przylegającą ściśle do twarzy i przywdziać kolejną, pomalowaną na inne kolory.

Nie byłam na to gotowa. Nie potrafiłam wypuścić z objęć tego, czego tak kurczowo trzymałam się w Maisey.

Podczas gdy moi rodzice błyskawicznie się zaaklimatyzowali i zaczęli budować swoje farmaceutyczne imperium od nowa, ja, jak zagubiona owca, nie mogłam odnaleźć swojego miejsca w tym świecie. Czułam się samotna i wyobcowana. Może i w rodzinnym mieście nie miałam przyjaciół, ale było mi dobrze w znajomym tłumie. Tęskniłam za starym życiem tak bardzo, że aż doskwierał mi fizyczny ból.

Trafiłam do liceum położonego najbliżej naszego domu. W pierwszy dzień snułam się zagubiona po szaro-bordowych korytarzach, trzypiętrowy budynek przypominał labirynt. Nie pytałam nikogo o drogę ani o pomoc, bo gdy tylko myślałam o tej możliwości, w głowie grzmiały słowa matki: „W każdej sytuacji musisz radzić sobie sama. Prośenie o pomoc to słabość. Harveyowie nie są słabi, Katherine”.

Więc nie okazywałam słabości. Chodziłam od sali do sali, aż odnajdywałam odpowiednią. Radzenie sobie na własną rękę skutecznie odwracało uwagę od samotności i zajmowało tak dużo czasu, że nie starczało go na integrację. Poza tym żadna osoba z klasy nie kwapiła się do poznania mnie. Nie zostałam oficjalnie przedstawiona, a imiona i nazwiska rówieśników odkrywałam przypadkowo z każdą kolejną lekcją. Zdecydowanie nie narzekałam na ten stan rzeczy, nie miałam ochoty na zawieranie znajomości. Wołałam skupić się na zajęciach i eksplorowaniu kolejnych zakamarków szkoły.

Czasami łowiłam krótkie spojrzenia rzucone w moją stronę, to był jedyny okruszek uwagi, jaki otrzymywałam od klasy. Najczęściej przylapywałam na

tym rudowłosą pieguskę. Po piątym razie przestałam zwracać na nią uwagę. Wysłałam z założenia, że może się gapić do woli, jeśli nie robi nic ponad to.

Po ośmiu godzinach zajęć wcale nie śpieszyło mi się do domu. Wysłałam wolnym krokiem za tłumem pędzącym do życia pozaszkolnego. Ja go nie miałam, więc nie pchałam się do przodu. Pośród ludzi mignęła wściekle ruda czupryna, ale tym razem dziewczyna nie zwróciła na mnie uwagi. Z ciekawością obserwowałam, jak wsiadła na rower miejski, chociaż chodnik pokryty był cienką warstwą śniegu. Pomyślałam, że to bardzo słaby pomysł, ale udało jej się utrzymać równowagę. Odprowadziłam ją wzrokiem, gdy wyjeżdżała za bramy szkoły.

Spędziłam popołudnie na wałęsaniu się po mieście, poznawałam okolicę. Przeszłam obok kina, minęłam dworzec autobusowy i dwupiętrową galerię handlową. Około szóstej zrobiło mi się zimno, więc wstąpiłam do kawiarni po gorącą herbatę na wynos i ruszyłam w drogę do domu. Wzięłam pierwszy łyk, nawet nie zdążyłam otworzyć ust po drugi, bo tuż przede mną jakiś chłopak runął jak długi na brudny śnieg.

Prosto na twarz.

Bo w dłoniach trzymał karton pizzy.

Stałam przez chwilę w bezruchu, zbyt zaskoczona całym zajściem, by jakkolwiek zareagować. Dopiero gdy wsparł się na łokciach i uniósł głowę, odłożyłam papierowy kubek na ławkę obok i stanęłam nad poszkodowanym. Oglądał uważnie karton, któremu nie dał wypaść z rąk.

– Wszystko w porządku? – spytałam, stając nad nim.

Szybko oceniłam skutki: brudna, mokra twarz, uwalona kurtka i wysypane z brązowej torby podręczniki szkolne. Rzuciłam na nie okiem – to były wydania używane w mojej szkole.

– Pizza jest cała? – Patrzył na karton, próbując nieudolnie wstać. Gdyby odłożył go na ziemię, poszłoby mu to o wiele sprawniej. On jednak wydawał się bardziej przejmować jedzeniem niż swoim stanem, jakby wyłączył instynkt przetrwania.

– Chyba tak – odparłam, wędrując wzrokiem po brązowych włosach przyklejonych do zaróżowionych policzków i wpadających do oczu. – Pomóc

ci? Może potrzymam? – Nie wiem, po co zapytałam, bo od razu zabrałam mu z rąk zbędny balast.

– Dzięki – mruknął. Staął na nogi, skrzywił się na widok brudnej kurtki i zaczął ją otrzepywać równie brudnymi i mokrymi rękoma.

Kilka osób przeszło obok, zerkając na nas z zaciekawieniem. Spuściłam głowę i skupiłam uwagę na pstrokatym logo pizzerii. Ciepłe opakowanie przyjemnie ogrzewało palce, a aromatyczny zapach ciasta sprawił, że w ustach zebrała się ślina. Dawno nie jadłam fast foodów.

Zobaczyłam, że chłopak skończył już nieudolnie wycierać ubranie. Po chwili nasze oczy się spotkały, a ja ujrzałam błękitne jak bezchmurne niebo tęczówki i poczułam, że już kiedyś się spotkaliśmy.

On jednak szybko przerwał kontakt wzrokowy i zabrał się za zbieranie swoich rzeczy. Pośpiesznie wrzucił przemoknięte podręczniki do torby, po czym wziął ode mnie karton. Raz jeszcze podziękował, potem oddał się energicznemu krokiem. Odprowadziłam go spojrzeniem, aż zniknął za rogiem kremowego budynku. Wpatrywałam się jeszcze przez chwilę w miejsce, w którym straciłam go z oczu, dumając nad tym dziwnym zdarzeniem. Po chwili odetchnęłam głęboko i chwyciłam herbatę, niestety zdążyła już ostygnąć.

Nie pozostało mi nic innego niż powrót do domu.

Rodzice jak zwykle pracowali do późna, więc zastałam puste cztery ściany. Włożyłam domowe ciuchy i wyszłam do psa. Nienawidziłam tego, że Pianka była w zamknięciu. Mimo że buda została dobrze przygotowana do niskich temperatur, a klatka miała zadaszenie, nie potrafiłam się pogodzić z tym, że zabroniono temu kochanemu zwierzęciu przekraczać próg domu. Przecież pies to brudne, głupie stworzenie, które zaburzało ich poczucie perfekcjonizmu. A nie daj Boże, żeby Pianka otarła się o kombinezon matki i zostawiła na nim sierść. Wtedy świat na pewno by spłonął.

W rzeczywistości suczka została kupiona po to, by ocieplić wizerunek rodziny Harveyów. I tylko oni wiedzieli, że za wysokimi murami posesji pojęcie wolności zmieniało definicję na: „masz swoją kartę, przecież możesz kupić wszystko, co chcesz”, a miłość była wyrażana w funtach.

Wypuściłam owczarka niemieckiego, który od razu zaczął skakać ze szczęścia, próbując dotrzeć do mojej twarzy językiem. Śmiałam się głośno, nie przejmując zupełnie zabłoconymi łapami i galonami śliny. Ciemne, błyszczące oczy gapiły się na mnie z takim uwielbieniem, że aż pękało mi serce. Właśnie to było dla mnie definicją miłości. Trzydziestopięciokilowe szczęście.



Marzec przyniósł nie tylko wiosnę, podczas której wszystko zaczynało kwitnąć, a powietrze stało się lżejsze i bardziej przejrzyste, ale także szansę na to, że coś w moim życiu zmieni się na lepsze.

Minął miesiąc od przeprowadzki i pierwszego dnia w nowej szkole. Po niezliczonych zerknięciach w moją stronę ciekawsza koleżanka w końcu pełnym przypadkiem zyskała moją uwagę. Zostałyśmy przydzielone z Vivien do wspólnego projektu na zajęciach z chemii. Zostawałyśmy po szkole w bibliotece, żadna nawet nie zaproponowała spotkania u którejś w domu. Z początku odzywałyśmy się tylko z konieczności, a potem rozmowy naturalnie schodziły na inne tematy. Pomału dowiadywałyśmy się różnych błahostek na swój temat. Już po kilku dniach wiedziałam, że moja nowa znajoma kochała sukienki w kwiatki, nigdy nie miała żadnego zwierzęcia i wolała przedmioty humanistyczne niż ścisłe. Nie byłam za bardzo otwarta w relacjach, więc nie opowiadałam za dużo o sobie. Mimo to Vivien wyciągała ze mnie drobne ciekawostki i fakty, a ja nawet tego nie zauważałam.

Nie zarejestrowałam również momentu, w którym zaczęłyśmy siadać obok siebie na zajęciach. Wszystko działo się płynnie, naturalnie, jakby od zawsze miało tak być. Myślałam, że będę przytłoczona nową znajomością, ale wcale tak się nie stało. Czułam się dobrze. Vivien swoim ciepłem, wyrozumiałością i cierpliwością zaskarbiła sobie miejsce w moim sercu.

Podchodziła do mnie ostrożnie, niczego nie robiła za szybko. Nawet nie miałam pojęcia, że potrzebowałam takiej osoby w swoim życiu.

Po incydencie z chłopakiem z pizzą wypatrywałam go wśród uczniów liceum. Nie wiem czemu, może po prostu potrzebowałam skupić na czymś myśli. Znalazłam go szybko, bo dzień po tamtym spotkaniu. Wtedy jeszcze nie miałam kogo o niego zapytać, ale później Vivien powiedziała, że to Theodor Graves. Znała go jedynie ze słyszenia, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Nie przyznałam tego na głos, ale zupełnie się z nią nie zgadzałam. Zawsze szukałam na korytarzu czy w stołówce jego brązowej, loczkowatej czupryny, robiłam to zupełnie nieświadomie.

Nie byłam w stanie opisać ogromu mojego zdziwienia, gdy pewnego marcowego dnia właśnie ten chłopak przekroczył próg mojego domu.

Rodzice nie pozwalali mi zapraszać znajomych, więc jego obecność stanowiła dla mnie coś niezwykle, wyjątkowego. W życiu nie pomyślałabym, że to on jako pierwszy mnie odwiedzi.

Stał w holu, obok kobiety ubranej tak samo elegancko jak on. Mimo stroju wyglądała na miłą i ciepłą osobę. Byłam ciekawa, czy to tylko mylne złudzenie, czy może naprawdę zupełnie nie pasowała na znajomą moich rodziców.

Szary garnitur Theo gasił delikatnie łobuzerską urodę, dzięki niemu sprawiał wrażenie poważnego młodzieńca, a nie takiej ciapy, za jaką go miałam. Nasze spojrzenia się spotkały, a chłopak wydał się speszony moją obecnością jeszcze bardziej niż ja jego. Oprzytomniałam, zanim któreś z rodziców zauważyło, że otwarcie gapiałam się na gościa.

Ojciec zaprowadził ich do salonu, a matka podeszła do mnie z surową miną. Intensywny zapach perfum sprawił, że miałam ochotę się odsunąć.

– Ta kobieta to nasza furtka do lepszej przyszłości, będziemy dzisiaj negocjować umowę na dystrybucję leków do jej aptek. Zabierz tego chłoptasia, żeby nie przeszkadzał – rozkazała cierpko. – I zachowuj się. – Zmierzyła mnie surowym wzrokiem. – Plecy prosto, podbródek do góry, Katherine.

Skinęłam głowę, nawet nie myślałam o sprzeciwie. Cieszyłam się z tego polecenia, bo nienawidziłam tych oficjalnych spotkań biznesowych. Brzydziłam się fałszywymi uśmiechami, zakłamaną serdecznością i komplementami na pokaz.

Weszłam za matką do salonu. Goście zajęli już miejsca, tak samo jak ojciec. Matka uśmiechnęła się szeroko, oczekując śliskim kłamstwem. Założyła blond włosy za ozdobione złotymi kolczykami uszy.

– Patricio, Theodorze, to Katherine. – Położyła kościstą rękę na moim ramieniu. Uniosłam lekko kąciuki ust. – Może twój siostrzeniec oprowadzi Katherine po mieście? Jesteśmy tu już miesiąc, a nie mieliśmy nawet okazji poznać dobrze okolicy. – Zaśmiała się krótko, na pozór serdecznie.

Robiłam wszystko, by się nie skrzywić.

Pozostali przyznali, że to świetny pomysł, więc wyszliśmy.

Theodor szedł obok mnie w niezręcznej ciszy. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc nie odzywałam się wcale. Schowałam ręce do kieszeni cienkiego płaszcza i po prostu patrzyłam pod nogi.

– Tooo... gdzie chcesz iść? – spytał, zerkając na mnie.

Wzruszyłam ramionami.

– Zjadłabym pizzę – powiedziałam pierwsze, co przyszło mi do głowy.

Chłopak uśmiechnął się szeroko, w niebieskich oczach błysnęło zadowolenie.

– Chyba się zaprzyjaźnimy – stwierdził lekko, po czym zaczął szukać w telefonie najbliższej pizzerii.

Jego słowa okazały się prorocze.

Następne godziny spędziliśmy na jedzeniu, wałęsaniu się po mieście i siedzeniu na placu zabaw. Rozmawialiśmy o niczym, ale to było początkiem wszystkiego.

Nie zainicjowałam pierwszego kroku z Vivien, więc tym razem postanowiłam się przełamać i wyciągnąć rękę do Theodora. Coś ciągnęło mnie w stronę tego roztrzepanego, beztroskiego miłośnika niezdrowego jedzenia. Dlatego kolejnego dnia przysiadłam się do niego na lunchu w szkole. Potem drugi raz, a następnie niezliczoną ilość kolejnych razów. I tak już

zostało. Nasza trójka zaczęła się spotykać w stołówce, bibliotece... i nie wiadomo, kiedy staliśmy się nierozłączni.

Znajomość z nimi sprawiła, że zaczęłam czuć się dobrze w nowej szkole, a mieszkanie w Daverton nie wydawało się już takie straszne. Powoli oswajałam się z myślą, że przeprowadzka może nie była aż taka zła.



Przyjaźniliśmy się we trójkę dopiero od dwóch miesięcy, więc zaskoczyło mnie, gdy Vivien zadzwoniła dzień przed moimi urodzinami i stwierdziła, że przygotowała z Theo niespodziankę.

– Nie mogę ci nic powiedzieć – zrugła mnie po kolejnej próbie wyciągnięcia informacji. – Po prostu jutro rano znajdziesz kopertę, otworzysz ją i wszystkiego się dowiesz.

– Kopertę? To znaczy, że tu przyjdziecie? – spytałam, a moje serce zabiło mocniej.

– Nie, ale zobaczymy się później.

– Więc skąd weźmie się u mnie ta koperta? – dopytywałam niecierpliwie. Zastanawiałam się, co wymyślili ci konspiratorzy. Było tyle możliwości! Ciekawość zżerała mnie od środka.

– Kate, nie powiem ci nic więcej, więc nie dopytuj! To niespodzianka, co mówi samo za siebie, że nie możesz nic wiedzieć. – Vivien westchnęła, a w słuchawce coś zaszeleściło. Domyśliłam się, że przebywała właśnie na mieście. – Po prostu od razu, jak wstaniesz, to otwórz kopertę. Reszty dowiesz się potem.

Przygryzłam nerwowo wargę, wpatrując się w sufit. Nie lubiłam niespodzianek, strasznie mnie stresowały. W głowie pojawiało się coraz więcej pytań: a co, jeśli ubiorę się nieodpowiednio do tego, co zaplanowali? Wskoczę w sukienkę i sandaalki, a pójdziemy na gokarty, albo będę się pół dnia szykować, a na koniec się okaże, że w ogóle nigdzie nie idziemy. Byłoby mi okropnie głupio i czułabym, że coś zepsułam. Mimo wszystko

nie naciskałam na Vivien, bo wiedziałam, że potrafi być uparta. Pewnie właśnie dlatego to ona zadzwoniła, Theo przegrałby tę rozmowę. Wzięłam głęboki wdech, uznając swoją porażkę w tej małej bitwie.

– Okej, w porządku. Czyli nie dowiem się niczego więcej? – upewniałam się ostatni raz.

– Nie ma opcji.

– No dobrze. Więc... do jutra? – Przygryzłam paznokieć kciuka.

– Do jutra! Wyśpij się – poleciła i błyskawicznie zakończyła połączenie, bym nie mogła zadać kolejnego pytania, które cisnęło się na usta.

Mam się wyspać? Planują coś męczącego? A może po prostu będzie długo trwało?

Chwyciłam jedną z leżących obok poduszek i wcisnęłam w nią twarz, po czym wydobyłam z siebie coś między warknięciem a piskiem.

Nie spałam zbyt dobrze, choć starałam się ze wszystkich sił przestać myśleć i analizować. Przewracałam się z boku na bok, co chwilę odrzucałam kołdrę, żeby po kilku minutach z powrotem się nią otulić. Właśnie dlatego o pierwszej w nocy z głową pełną ponurych myśli wyszłam po kryjomu na spacer, a później siedziałam na szerokim parapecie w swoim pokoju, obserwując ciemne niebo. Myślałam o wszystkim, co uparcie nie chciało wyjść z głowy i zaplatało coraz więcej nici, w które, chcąc nie chcąc, wpadałam.

Tuż przed zaśnięciem stwierdziłam, że chyba wołałabym nie mieć żadnej niespodzianki, a jedynie dostać SMS-y z życzeniami. To ułatwiłoby sprawę.

Rano zmieniłam zdanie.

Trzynastego maja obudziłam się około siódmej i – choć ciężko było otworzyć oczy – to od razu wyskoczyłam z łóżka. Przeciągnęłam się, ziewając. Przetarłam zaspane, opuchnięte powieki. Z niespodziewaną ekscytacją rozejrzałam się w poszukiwaniu koperty i poczułam lekki zawód, gdy mój wzrok jej nie odnalazł. Już miałam zamiar zejść na parter, ale intuicja podpowiedziała mi, żeby obejrzeć się za siebie. Wtedy zauważyłam niewielki prostokąt na jednej z ozdobnych poduszek. Uśmiechnęłam się. W dwóch krokach znalazłam się z powrotem na łóżku i chwyciłam upragnione

znalezisko. Obejrzałam ciemną, elegancką kopertę z dwóch stron, ale poza moim imieniem napisanym białym markerem niczego nie zauważyłam. Otworzyłam ją, po czym wyjęłam złożoną na pół kartkę.

Kate!

Dzisiaj są twoje osiemnaste urodziny, sto lat!!! ♥

Jesteś o krok bliżej do siwych włosów i zaników pamięci, chociaż te już zaczynasz mieć. Ale i tak lepsze to niż siwienie.

Chcemy życzyć ci wszystkiego, co najlepsze, więc:

- żeby nigdy Ci nas nie zabrakło,
- więcej fast foodowych piątków,
- spełnienia marzeń,
- więcej wiary w siebie i żebyś częściej się doceniała!

Mamy dla Ciebie niespodziankę, ale sama musisz po nią przyjść. W kopercie jest lista zadań, musisz wykonać je wszystkie do piątej. Równo o piątej widzimy się w miejscu, do którego zaprowadzą Cię współrzędne. Bez wypełnionych zadań nie przychodź!

Theo i Vivien

Przepełniona ekscytacją wyjęłam drugą kartkę. Czytałam wszystkie dziesięć punktów z wypiekami na twarzy i tak dużą radością, że aż się nią zachłysnęłam. Strasznie cieszyło mnie, że przyjaciele zorganizowali dla mnie coś wyjątkowego. Nigdy nie dostałam tak świetnego prezentu na urodziny ani żadną inną okazję.

Nie stresowałam się już tak bardzo niewiadomą, bo na liście znalazły się pewne wskazówki odnośnie do tego, jak miałam się przygotować. Uśmiechnęłam się z ulgą. Nawet o to zadbali.

Pełna nowej energii wyleciałam z pokoju z kartką w dłoni, starając się nie hałasować.

Zostawiłam na chwilę listę na blacie kuchennym, żeby zająć się jedzeniem. Pierwszy z dziesięciu punktów – zjedz swoje ulubione śniadanie. Może chodziło im o wyskoczenie do kawiarni albo zamówienie najbardziej niezdrowego fast fooda, jakiego tylko się dało, ale moim ulubionym śniadaniem była jajecznica z chlebem grubo posmarowanym masłem. Wyjęłam więc potrzebne rzeczy i położyłam je na marmurowym blacie, a wtedy moją uwagę przykuła kartka przywieszona do lodówki.

Jesteśmy w pracy. Zamów sobie krewetki, wrócimy wieczorem.

Spojrzałam na wyjęte jajka. Zawiesiłam na nich wzrok na kilka sekund, uzmysławiając sobie, że mimo przeprowadzki i tych wszystkich zmian na lepsze niektóre rzeczy pozostały na swoim miejscu.

Usmażyłam jajka z papryką, pomidorem i szynką, nałożyłam na posmarowane masłem kromki i zjadłam ze smakiem, wpatrując się w widok za oknem. O tej porze ludzi kręciło się niewiele, więc po prostu podziwiałam ogródek.

W maju wiosna była w pełnym rozkwicie. Wybudziła z zimowego snu większość kwiatów i pozostałych roślin, dzięki czemu miałam na czym zawiesić oko. Przez ogród oczywiście dochodziło więcej obowiązków, ale to żaden problem – mama zatrudniała ogrodnika. Czasami miałam wrażenie, że kochała swoje róże bardziej niż ludzi. Nie angażowała się osobiście w ich pielęgnację, za to często podziwiała, jak pięknie kwitły. Siadała na leżaku z kieliszkiem wina tuż obok krzewów. Potrafiła spędzać tam długie godziny.

Po śniadaniu wzięłam szybki, zimny prysznic, po czym włożyłam białą koszulkę i brązowe dresy, czyli jak nakazał drugi punkt listy – wskoczyłam w wygodne ciuchy. Doprowadziłam się do porządku i zabrałam za trzecie zadanie. W tym celu przypięłam smycz do skórzanej obroży Pianki i wyszłam na godzinny spacer. Nawet bez listy bym to zrobiła, bo uwielbiałam nasze wędrowniki. Wiele wysiłku i czasu wymagało nauczenie jej chodzenia na luźnej smyczy i innych rzeczy sprawiających, że pies stał się prawdziwym aniołem, ale było warto.

Przemierzałyśmy uliczki spokojnym krokiem, a pogoda była tak piękna, że aż miałam ochotę zanurzyć coś pod nosem. Powściągliwość jednak zrobiła swoje, więząc w myślach słowa usłyszaną niedawno piosenki.

Okrążyłyśmy park, nie decydując się na przechadzkę w cieniu drzew. Tym razem wyjątkowo miałam ochotę łowić każdy poszczególny promień słońca padający na moją bladą twarz. Zazwyczaj unikałam opalania przez nadmierną wrażliwość skóry, ale w tamtym momencie organizm chyba domagał się witaminy D.

Dochodziła trzecia, a ja miałam do zrealizowania jeszcze dwa zadania. Cekało mnie pójście do galerii handlowej i odebranie zamówienia w sklepie odzieżowym, a następnie udanie się w wyznaczone miejsce. Z lekką niepewnością przemierzałam spacerem miasto, zastanawiając się, co też mogła wymyślić ta dwójka. Po trzydziestu minutach wizytę w sklepie miałam za sobą, przyspieszyłam trochę kroku w drodze powrotnej. Ręce wręcz świerzbiły, żeby otworzyć papierową, elegancką torbę i wyjąć z niej ubrania owinięte białym materiałem. Byłam prawie pewna, że specjalnie spakowano zamówienie tak, żeby nie mogła podejrzec, co jest w środku przed powrotem do domu.

Zamknęłam Piankę w kojcu, przygryzając wargę. Nie cierpiałam jej tam zostawiać. Błyszczące oczy zawsze wtedy patrzyły na mnie z radością, choć wołałabym zobaczyć w nich irytację albo złość, ale za każdym razem widziałam tylko bezgraniczną miłość. To jeszcze mocniej łamało mi serce.

Pogłaskałam pysk przez kraty, zaciskając usta w linię.

– Przepraszam, Pianusiu. Jutro pójdziemy na dłuższy spacer, co? – spytałam cicho, na co zamerdała ogonem. Musiałam iść, bo oczy zachodziły mi łzami.

Gdy byłam już w sypialni, pośpiesznie wyjęłam zawartość papierowej torby. W moje dłonie trafił miły w dotyku śnieżnobiały materiał. Wyciągnęłam przed siebie ręce, by obejrzeć go w całości. Opadł aż do podłogi, a moim oczom ukazała się najpiękniejsza sukienka, jaką kiedykolwiek trzymałam.

Kopertowy, lekko marszczony dekolt świetnie dopełniała koronkowa tasiemka umiejscowiona w talii. Taki sam materiał znajdował się na falbankach przy końcówkach rękawów. Dół natomiast był prosty i luźny. Sukienka perfekcyjnie wpasowała się w styl boho, który bardzo mi się podobał. Mogłabym śmiało pójść w niej do ślubu organizowanego w ogrodzie taką ciepłą wiosną jak ta. Ta myśl sprawiła, że kolejny raz poczułam się zbita z tropu.

Dokąd w takim razie idziemy?

Starając się nie myśleć za dużo, postanowiłam ją założyć, po czym od razu złapałam za kosmetyczkę. Taka kreacja zdecydowania zasługiwała na przynajmniej podstawowy makijaż. Jeszcze zanim usiadłam przy biurku, okręciłam się kilka razy wokół własnej osi, a lekki materiał wirował razem ze mną. Czułam się jak księżniczka. Dotknęłam zaróżowionych, gorących policzków. Zdecydowanie trzeba było zrobić coś z twarzą.

Zawartość kosmetyczki nie pozwoliła na wiele, więc po prostu użyłam lekkiego podkładu, pudru, pomalowałam rzęsy i nałożyłam bezbarwny błyszczak na usta. Jak na mnie, to i tak mocny makijaż. Na co dzień nie malowałam się w ogóle, ale czasami rodzice wymagali, żebym jakoś się prezentowała.

Następnie rozczesałam włosy i pozwoliłam rudobrazowym falom spływać luźno po plecach. Na koniec założyłam maleńkie, srebrne kolczyki. Dopiero wtedy poczułam, że pasowałam do tej sukienki i zasługiwałam na nią. Brakowało tylko księcia na białym koniu i kwiecistego wianka we włosach.

Rozemocjonowana zerknęłam na zegar wiszący nad komodą. Na szczęście miałam jeszcze trochę czasu na dotarcie do wyznaczonego miejsca, więc poszłam szukać odpowiednich butów i torebki. Głupio byłoby iść w znoszonych trampkach.

Po kilkunastu minutach i podjęciu trudnej decyzji, którą torebkę wybrać, wreszcie byłam gotowa. Wrzuciłam lokalizację z listy zadań w aplikację GPS w telefonie i zmarszczyłam brwi, zaskoczona wynikiem. Wpisałam jeszcze raz, ale ponownie wyświetliło się to samo. Kusiło mnie,

żeby zadzwonić do Vivien z pytaniem, czy to na pewno to miejsce, ale przypomniałam sobie jej stanowcze polecenie, żeby nie dzwonić przed naszym spotkaniem.

Westchnęłam. Niepokój rósł stopniowo w moim wnętrzu. Postanowiłam, że w ostateczności skontaktuję się z nimi po dotarciu do celu. Może wcale się nie pomylili, chcąc wysłać mnie na zupełne pustkowienie, gdzie na mapie widoczna była tylko droga i otaczająca ją polana. Przecież nie zrobiliby sobie ze mnie żartu w moje urodziny, prawda?

Zamówiłam taksówkę i kilka minut przed szóstą byliśmy na miejscu. Ku mojemu zaskoczeniu przy drodze znajdował się budynek, który nie został zaznaczony w aplikacji. Nie zastanawiając się długo, zapłaciłam taksówkarzowi, wysiadłam z auta i podeszłam do posesji. Skoro tylko ten obiekt znajdował się w promieniu kilkuset jardów, to musiało chodzić o niego.

Żelazne kraty bramy wjazdowej oplatał łańcuch, zwisała z niego rozwalona kłódka. Pchnęłam delikatnie prawe skrzydło. Zaskrzypiało. Brama ustąpiła z łatwością.

Niepewnie weszłam na teren posiadłości. Z każdą sekundą coraz bardziej miałam wrażenie, że dałam się nabrać przyjaciółom. Mimo wszystko ufałam im, więc brnęłam w to dalej, z nadzieją, że za chwilę ta dwójka wyskoczy skądś, krzycząc „niespodzianka!”.

Zarośnięty chwastami chodnik prowadził do drzwi wejściowych. Wszystko wokół wyglądało na bardzo zaniedbane, jakby nikt nie zaglądał tam od wielu lat. Bluszcz pięł się po wysokim budynku aż po drugie piętro. Przypatrując się rozległym pnączom, dostrzegłam ledwo widoczną tabliczkę. Podeszłam i kierowana intuicją odsunęłam rośliny na bok. Rozchyliłam lekko usta, gdy moim oczom ukazała się nazwa obiektu.

Szpital Psychiatryczny imienia Alexandra Willsona.

Nie było opcji, że mieliśmy spotkać się w tak upiornym miejscu. Nawet gdyby chcieli zrobić mi żart, nie wierzyłam, że mógłby być aż tak głupi.

To musi być pomyłka.

Wyjęłam telefon z torebki, wybrałam numer Vivien. Usłyszałam pierwszy sygnał i wzdrygnęłam się z zaskoczenia, bo ze środka budynku rozległ się dźwięk dzwonka jej smartfona. Próbowałam zlokalizować, skąd dochodził, ale połączenie zostało zerwane. Wybrałam numer kolejny raz, a wtedy znów usłyszałam melodię.

Czyli jednak byli wewnątrz, nie przesłyszałam się. Nie podobało mi się to. Powoli zaczynałam żałować, że w ogóle wyszłam z domu.

Zadzwoniłam jeszcze do Theo, ale nie odebrał.

Spojrzałam w stronę drogi dojazdowej, zaciskając usta. Myślałam o tym, żeby po prostu odwrócić się na pięcie i pomaszerować z powrotem, ale coś podkuśiło mnie do zostania. Może ogromna nadzieja, że jednak nie pomyliłam się co do przyjaciół? Przecież Vivien na pewno sprawdziła kilka razy lokalizację z listy, ona zawsze musiała się upewnić, że zrobiła wszystko dobrze.

Pełna napięcia chwyciłam materiał sukienki, żeby o nic nie zahaczyła, i podeszłam do drzwi. Chciałam jak najszybciej znaleźć tę pokręconą dwójkę i zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Miałam już dość tych niewiadomych, traciłam cierpliwość.

Złapałam za mosiężną, zdobioną klamkę i pchnęłam ciężkie drzwi. Spodziewałam się, że otwieraniu będzie towarzyszyło skrzypienie, jednak powitało mnie jedynie przyprawiające o gęsią skórę echo odbijające się od pustych ścian.

Mój wzrok od razu padł na niewielkie płomienie tańczące na knotach pod wpływem przeciągu. Świece tworzyły klimatyczne przejście prowadzące po schodach na piętro. Wosk kapał na betonową podłogę pełną kurzu, poślizgniętych kartek, szkła i rzeczy, których chyba nie chciałam identyfikować. Niektóre okna były pozabijane drewnianymi płytami, a w innych brakowało szyb.

Pomieszczenie, w którym się znajdowałam to hol z dwoma korytarzami po przeciwnych stronach oraz szerokimi schodami. Nie byłam za dobra

z historii, ale ten budynek zdecydowanie nie został wybudowany w tym stuleciu. Wyglądał jak ze starych, czarno-białych horrorów, a świece tylko potęgowały to wrażenie.

– Halo? – zawołałam niepewnie.

Miałam nadzieję, że szybko znajdę Viv albo Theo. Ostatnie, czego chciałam, to bawienie się w chowanego w opuszczonym szpitalu psychiatrycznym. Sama myśl o tym, gdzie właśnie byłam, przyprawiała o gęsią skórę.

Postanowiłam podążać wytyczoną drogą, bo moje wołanie spotkało się z ciszą. Budynek okazał się na tyle duży, że mogli mnie nie usłyszeć. Właśnie to sobie wmawiałam.

– Jesteście tu?! – krzyczałam, pokonując stopnie. Znów nie doczekałam się odpowiedzi.

Weszłam na piętro i rozejrzałam się po podłużnym holu. Do dziurawego dywanu rozciągającego się po całej długości przyłączone były poczerwiałe gumy do żucia i inne lepkie rzeczy. Wykrzywiłam twarz w grymasie zniesmaczenia i zadarłam wyżej sukienkę, żeby nic jej nie dotknęło. Już wystarczająco obrzydzał mnie fakt, że coś mogło przykleić się do butów.

Wzdrygnęłam się, gdy telefon w mojej torebce zaczął wibrować. Jedną ręką złapałam fałdy materiału, a drugą wygrzebałam smartfon. Uderzyła we mnie mieszanina ulgi i irytacji na widok numeru Theo.

– Szukam was, gdzie jesteście? – spytałam od razu, idąc dalej drogą wytyczoną przez świece. Mijałam obdrapane drzwi i pomieszczenia, które we framugach miały same zawiasy. W ich wnętrzach widziałam jedynie połamane deski i rupiecie.

– Już jesteś? Gdzie? – zdziwił się chłopak.

– Weszłam na piętro.

– Na piętro? Czekał, już idę.

Minęłam zakręt, za nim znajdowały się brązowe, masywne drzwi. Już chciałam zawrócić, ale moją uwagę przykuła melodia dochodząca z pomieszczenia. Przypominała dźwięk grającej pozytywki. Skupiłam się na niej przez moment, bo miałam wrażenie, że skądś ją znałam.

– Dobra, znalazłam was. – Uśmiechnęłam się pod nosem. – Swoją drogą, dzwoniłam wcześniej do Vivien i słyszałam jej dzwonek, to was zdradziło.

– Ale Vivien pojechała po... – Urwał, jakby nie chciał zdradzić za dużo. – Jeszcze jej nie ma. Wyszedłem po ciebie i nigdzie cię nie widzę.

– Może się minęliście? Wchodzę do środka – oznajmiłam, łapiąc za klamkę.

– Jak to wchodzisz? – spytał wyraźnie zdezorientowany. – Przecież bym cię widział, gdybyś szła. Poczekaj przed pałacem, wyjdę po ciebie.

– Pałacem? – Zmarszczyłam brwi, otwierając drzwi na oścież.

– Tak. Jesteś w Gold Palace, tak?

Chciałam odpowiedzieć, ale nagle zapomniałam, jak się mówi. Telefon wyslizgnął się z dłoni, z głośnika wydobywały się słowa, które zupełnie już do mnie nie docierały.

Dwie postaci.

Coś ciemnego.

Zapach rdzy.

Szum w uszach tak głośny, że aż słyszałam pisk.

A potem nic. A może wszystko.

Na środku pomieszczenia leżeli moi rodzice.

Wpatrywali się w sufit pustymi, matowymi oczami. Jakby wcale nie byli martwi. Jakby po prostu oglądali coś widocznego tylko dla nich.

Minęły dwa mocne uderzenia serca, podczas których skupiłam się na kałuży krwi. Do głowy przyszła absurdalna myśl, że wyglądali jak wyspa pośrodku czerwonego jeziora. Melodyjka grana przez pozytywkę powoli przebijała się do mojej świadomości, idealnie wpasowywała się do tego obrazu.

Poczułam się tak, jakbym właśnie zjeżdżała stromo w dół na kolejce górskiej. Nie mogłam złapać oddechu, wszystkie wnętrzości ścisnęły się nieprzyjemnie, a nogi się pode mną ugięły.

Po chwili oprzytomniałam. Rzuciłam się w stronę rodziców. Mój umysł przełączył się w jakiś automatyczny tryb. Bez zastanowienia wykonywałam

ruchy, chyba wcale ich nie kontrolowałam. Sprawdziłam im puls, ale go nie wyczułam. Nie zastanawiając się nad niczym, przystąpiłam do uciskania klatki piersiowej mamy. Zupełnie zignorowałam fakt, że miała na sobie poplamioną krwią, podziurawioną koszulę.

– Dalej, dalej! Oddychaj! – krzyczałam w amoku, wciąż uciskając. Przyłożyłam drżące wargi do ust mamy, by wykonać sztuczne oddychanie, ale zamiast tego z mojego gardła wydobył się szloch.

Wzięłam głęboki wdech i kontynuowałam resuscytację. To wszystko trwało kilka minut, a może całą wieczność. Przestałam dopiero wtedy, gdy brakło mi sił. Opadłam na kolana, dusząc się łzami. Tarłam uparcie drżące, zakrwawione ręce o materiał swojej białej sukienki.

Prawie nie usłyszałam dzwonka telefonu Vivien, który leżał obok jednej z dwóch kolumn. Gapiłam się na niego tępym wzrokiem, nie byłam w stanie się poruszyć. Wydawało mi się, że patrzę na siebie z boku. Po chwili wstałam, podeszłam, chwyciłam urządzenie i odebrałam. Nie miałam nawet pojęcia, kto dzwonił, bo obraz rozmył się od łez. Chciałam tylko wezwać pogotowie i umrzeć razem z rodzicami.

Ścisnęłam mocno smartfon, jakby to miało pomóc i zabrać ból.

– To takie wkurzające, że pasuje ci ta sukienka – stwierdził zmodulowany głos.

– Co? – wydukałam szeptem.

– Pasuje do ciebie. Niby czysta biel, a brudna od krwi i grzechów. Idealnie cię opisuje, prawda?

– To ty? Ty to zrobiłeś? Jesteś tu? – pytałam, powstrzymując odruch wymiotny.

– My to zrobiliśmy, Kate. MY. Byłem tylko twoimi rękami, narzędziem. A może po prostu spełniam marzenia.

Miałam wrażenie, że wszystko wokół nagle ucichło, a czas zwolnił. Wbiłam mocniej drżące palce w telefon.

– Ty chory pojebie! O czym ty mówisz?! Czemu to zrobiłeś?! Kim jesteś?! – wydzierałam się do telefonu.

– Bóg po prostu wysłuchał modlitw, Kate. Może wysłucha kolejnych.

Po tych słowach połączenie zostało przerwane. Trwałam w bezruchu, wpatrując się w bladą twarz mamy przysłoniętą gęstymi lokami. Nawet one były pokryte krwią. Włosy, o które tak bardzo dbała. Wydawała mnóstwo pieniędzy na zabiegi, spędzała ogrom czasu na domowej pielęgnacji.

Nawet te pieprzone włosy.

Odłożyłam gdzieś telefon, zbliżyłam się do niej. W amoku zaczęłam wycierać złociste pukle o swoją sukienkę. Chciałam, żeby zniknęła krew, która je zlepiła. Chciałam, żeby wszystko zniknęło. Teraz, natychmiast.

W takich okolicznościach znalazła mnie policja.

A w tle grała dobrze znana mi melodia.

2

Pięć miesięcy.

Tyle zajęło mi stanięcie na nogi. Tak naprawdę zostałam postawiona do pionu przez przyjaciół oraz ciocię Theo i rodziców Vivien, wszyscy w tym czasie bardzo mi pomagali. Gdyby nie oni, pewnie nie udałoby mi się nawet wstać z łóżka, niemal do niego przyrosłam. Przez pewien czas miętka pościel była dla mnie jak kokon, z którego nie potrafiłam się wydostać.

Na pogrzebie usłyszałam, że z każdym dniem będzie łatwiej, że ból będzie stopniowo słabnąć.

Kłamali.

Każdy poranek był jedynie coraz większym cierpieniem.

Najtrudniej wspominam pierwszy miesiąc. Nie wychodziłam wtedy z domu. Wylałam z siebie tyle łez, że mogłabym napęłnić nimi jezioro. A gdy już ich zabrakło, to leżałam, wpatrując się tępo w sufit, lub spałam. Uwielbiałam spać. Tylko wtedy nie czułam bólu, który pochłaniał każdą komórkę mojego ciała.

W snach wszystko pozostawało idealne, nie czułam smutku ani strachu. Nie byłam samotna. Nie straciłam jedynej rodziny.

Po kilkudziesięciu dniach wmuszania w siebie czegośkolwiek zaczęłam odczuwać głód, dzięki niemu chętniej jadłam, a raz nawet zebrałam siły, żeby zrobić sobie kanapki. Pojawiła się również potrzeba wyjścia na zewnątrz; wpuszczenia do płuc świeżego powietrza, poczucia słońca na skórze, zobaczenia Pianki cieszącej się ze spaceru.

Pewnego ranka po prostu otworzyłam oczy i zapagnęłam znów żyć.

Nadal nie było mowy o wybraniu się samodzielnie do miasta – paraliżował mnie strach, że trafię na kogoś, kto chciał mnie zabić. Odważyłam się jedynie wyjść do ogrodu, tam czuwała nade mną Pianka i dwie cudowne osoby opiekujące się mną każdego dnia.

Nie wierzyłam w Boga, niebo czy piekło, ale jeśli coś takiego rzeczywiście istniało, to ta trójka była zesłanymi dla mnie aniołami.

Nawet nie zarejestrowałam momentu, w którym zaczęli odwiedzać mnie codziennie. Nagle wtargnęli do mojego życia, a ja ze zdziwieniem odkryłam, że nie miałam nic przeciwko. Chyba pierwszy raz naprawdę zaczęłam ich potrzebować i otworzyłam się na nich, wpuszczając do swojego serca i domu. Nie mówiłam o uczuciach, nie rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło, po prostu spędzaliśmy wspólnie czas: oglądaliśmy filmy, gotowaliśmy czy plotkowaliśmy. Czułam ulgę, kiedy byli blisko.

Praktycznie u mnie mieszkali. Nocowali, uczyli się, jedli to, co przygotowali ich opiekunowie, czasem sami gotowali. Zrezygnowali dla mnie z części swojego życia, przez co jednocześnie byłam im wdzięczna i czułam się podle.

Michael Barnes – zabójca rodziców – został osadzony za kratkami, ale mimo to nigdy nie poczułam się do końca bezpieczna. Media mówiły, że sprawca cierpiał na chorobę psychiczną. Zgodnie z jego planem miałam odkryć ciała rodziców po przejściu wszystkich kroków z fałszywej listy. Na pomysł z taką nawigacją wpadł dzięki zainstalowanym w domu podsłuchom, które zamontował, podając się za złotą rączkę. Na oryginalnej kartce nie było nic o odebraniu sukienki ze sklepu, a współrzędne miały prowadzić prosto do wynajętej salki urodzinowej. Poza tym jakimś cudem zabrał telefon Viv. Na samą myśl, że znajdował się obok niej, przechodziły mnie ciarki. Ten drań to istny psychopata.

Za każdym razem, gdy myślałam o tym, że przebywał w naszym domu, coś ścisnęło mnie w brzuchu. Dotykał naszych rzeczy, chodził po naszej podłodze. Czasami miałam wrażenie, że czułam w powietrzu obcy zapach perfum.

Został skazany na dożywocie. Kilka dni po morderstwie sam zgłosił się na policję i pokazał tak dużo dowodów świadczących o jego winie, że

śledztwo szybko zostało zakończone. Na pytanie, dlaczego to zrobił, stwierdził, że to była dobra zabawa. Zapewniano mnie, że nie muszę się niczego obawiać i będę bezpieczna, ale nie potrafiłam przyjąć tego do świadomości. Miałam wrażenie, że demony czały się wszędzie, nawet tuż za rogiem.

Razem z mamą Vivien udałam się na odczytanie testamentu. Nie zdziwił mnie fakt, że udziały rodziców w firmie zostały przekazane współpracownikom, a pieniądze z konta i oszczędności oddane fundacji. To było do przewidzenia. Zresztą nie miałam pojęcia o pracy tego typu, więc uznałam to za problem z głowy.

Mimo wszystko... zabolalo. Trochę. Nawet zza grobu postanowili mi przypomnieć, że byłam niewystarczająca.

Prawem dziedziczenia został mi tylko dom opłacony na dwa lata w przód i to, co się w nim znajdowało. Sugerowano mi, żebym go sprzedała i rozpoczęła życie na nowych fundamentach, ale nie mogłam się na to zdobyć. Kilka razy chciałam wybrać numer do osoby zajmującej się nieruchomościami, lecz nie odważyłam się zadzwonić. Nie potrafiłam zrezygnować z ostatniego miejsca, które łączyło mnie w jakikolwiek sposób z przeszłością.

Zostałam jej więźniem.

Wymieniono zamki w drzwiach, zaproponowano zainstalowanie alarmu. Zgodziłam się od razu. Dało to maleńką namiastkę bezpieczeństwa. Podzieliłam się kodem jedynie z Viv i Theo.

Potem zaczęłam czuć coś więcej niż tylko obezwładniającą rozpacz.

Pewnego dnia chłopak palnął jakiś durny żart, który zwyczajnie mnie rozbawił. Parsknęłam śmiechem, co według Theo i Viv było przełomowym krokiem w żałobie. I chyba rzeczywiście w tamtej chwili zrobiło mi się lżej na sercu. Moja dusza powoli odradzała się z popiołów.

Z czasem zaczęliśmy wspólnie spacerować po okolicy, chodzić na zakupy, a nawet do kina. Odważyłam się wyjąć trochę pieniędzy rodziców z koperty schowanej w sypialni, choć długo się przed tym wstrzymywałam.

Nadal wieczorami zwiżałam się w kłębek i płakałam, tuląc Piankę, ale za dnia coraz częściej wracałam do normalności. Od śmierci rodziców suczka

mieszkała w domu, nie zamierzałam nigdy więcej zamykać jej w kojcu. Najchętniej rozniosłabym go w drobny mak.

Po czterech miesiącach musiałam wrócić do szkoły. Ominęło mnie zakończenie roku, przesiedziałam całe wakacje w domu i nie zaczęłam ostatniej klasy tak, jak pozostali. W październiku dyrekcja nalegała na zakończenie nauczania domowego i powrót na lekcje stacjonarne. Długo się przed tym broniłam, ale w końcu się zgodziłam.

– Musisz wrócić do normalności, Kate.

Spięłam się lekko.

My to zrobiliśmy, Kate.

Viv zerknęła na mnie niepewnie, bo znów wymysknęło jej się to zdrobienie. Poprosiłam ich, żeby mówili Kathy, Katherine, byle nie tak. Przyjaciółka czasami się zapominała, a wtedy niewidzialna ręka zaciskała się na gardle, nieprzyjemne uczucie ścisnęło wnętrzności, po czym wywracało je na drugą stronę. Miałam nawet wrażenie, że czułam metaliczny zapach krwi.

Siedziałam na huśtawce ogrodowej, nogi opatulał przyjemny w dotyku koc. Vivien odkryła ostatnio nowy płyn do płukania, który sprawiał, że pranie było strasznie miękkie. Skupiłam się na miłej fakturze i zapachu, by odgonić dręczące uczucie.

– Będziemy tam z tobą. – Rozłożyła trzymany w rękach ręcznik, by energicznie go wytrzeć. Wieczory bywały już chłodne, ale mimo to nadal raz w tygodniu wieszała moje pranie na zewnątrz. – W tym roku są egzaminy. Wszyscy musimy się przyłożyć, to będzie trudny czas.

Wlepiłam wzrok w herbatę. Vivien miała rację. Podczas gdy ja starałam się jakoś przetrwać, oni nieustannie mnie niańczyli. Co prawda od początku roku szkolnego nocowali u mnie rzadziej, ale i tak poświęcali mi mnóstwo czasu. Byłam tak pochłonięta rozpaczą, że stałam się samolubna. Zepchnęłam ich potrzeby na dalszy plan, skupiona na nienawidzeniu swojego życia.

Tak więc nie dyskutowałam w tej sprawie. Po prostu zebrałam siły i wróciłam do szkoły w drugim tygodniu października.

Pierwszy dzień po tak długiej przerwie był... dziwny. A raczej dziwnie normalny. Viv i Theo przyszedli po mnie przed ósmą. Spacer zajął nam dwadzieścia minut, bo wcale się nie śpieszyliśmy. Podczas drogi nie potrafiłam zmusić się nawet do wątlęgo uśmiechu, po prostu pograżałam się w myślach.

Stresowałam się. Bardzo.

Przestałam dopiero w momencie, kiedy usiadłam w ławce na pierwszej lekcji, a nauczycielka matematyki po prostu zaczęła prowadzić zajęcia. Nie wydarzyło się nic nietypowego. Nikt nie pytał o rodziców ani nie szeptał po kątach, patrząc na mnie jak na kosmitkę.

– Jak się czujesz, Kathy? – spytał na przerwie Theo, wyjmując z pojemnika na lunch kawałek zimnej pizzy.

Od zawsze twierdziłam, że z tym człowiekiem było coś nie tak. Brakowało jeszcze jego ukochanego tuńczyka. Gdyby przyniósł go do szkoły, wstałabym i poszła do domu.

Są jakieś granice.

– W sumie normalnie. To jest jeszcze dziwniejsze, niż gdyby było nie-normalnie. – Odpakowałam kanapkę z folii. Wgryzałam się w chleb, kiedy podeszła do nas Ruby.

– Hej, Theo – przywitała się z tak szerokim uśmiechem, że mogłaby grać w serialu *Stamtąd*.

Odpowiedział jej speszony, a ona skierowała uwagę na mnie i Viv.

– Cześć!

Przyjaciółka uśmiechnęła się do niej, mamrocząc pod nosem „hej”, a ja kiwnęłam głową. Przeżuwałam kanapkę, nie spuszczając uważnego wzroku z Ruby, podczas gdy ona przytасzczyła duży puf i opadła na miękki materiał. Przez moment się wierciła, dopasowując wypełnienie do swojego ciała. Na koniec dmuchnęła, żeby pozbyć się włosów z twarzy, ścisnęła dłońmi prostokątną torbę i wlepiła w nas błyszczące, piwne oczy.

– Nie przeszkadzam? – spytała z przejęciem, skupiając się głównie na mnie. – Wiem o twoich rodzicach, strasznie, strasznie mi przykro. Jeśli nie czujesz się...

Przerwała, gdy machnęłam ręką. Przełknęłam przeżuty chleb, obliżałam usta.

– Jest okej, nie przejmuj się – uspokoiliam ją.

Ruby przeniosła się do naszej klasy na początku tego semestru, więc jeszcze nie miałyśmy okazji się osobiście poznać. Mimo to wiedziałam o niej już chyba wszystko, bo często spędzała przerwy z Viv i Theo. Ostrzegali mnie, że może być trochę... przytłaczająca. Rzeczywiście biła od niej mocna aura, czasami sprawiała wrażenie nachalnej i lepiła się do naszej trójki jak rzep do psiego ogona, ale nie chciałam wyciągać pochopnych wniosków. To nie jej wina, że się izolowałam i zawieranie znajomości, a tym bardziej przyjaźni było dla mnie czymś, z czym nadal się oswajałam.

Dziewczyna się rozpogodziła.

– Słuchajcie, myślałam o Halloween. – Kolejne niepewne zerknięcie w moją stronę. – Mam wizję! Drużyna Scooby-Doo, co wy na to?

Ja też miałam wizję. Siebie w domu. W dresie, z sushi, przy jakimś kiczowatym horrorze.

– Theo byłby Scoobym? – parsknęłam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Chłopak posłał mi mordercze spojrzenie.

– A będą Scooby chrupki? – spytał z przerysowaną powagą.

Ruby otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Vivien ją wyprzedziła:

– Myślałam o Fionie ze *Shreka*, ale w sumie Daphne... – Wzruszyła ramionami, bawiąc się rudym kosmykiem. Wlepiliśmy w nią zdziwione spojrzenia. – No co? Co jest?

– Fiona? – spytałam ze zdumieniem. – Czemu akurat Fiona, a nie, nie wiem... Ania Shirley? Merida? Albo po prostu jakiś leśny elf czy coś?

– I która Fiona? Ta z nocy czy z dnia? – wtrącił Theo, na co Vivien spiorunowała go wzrokiem.

– Chciałam coś zielonego – wyjaśniła krótko, na co ledwo powstrzymałam rozbawienie... w odróżnieniu od chłopaka. On prawie popłakał się ze śmiechu. – Chodziło mi o ubranie, głupki! – Pacnęła Theo w ramię.

Vivien była piękna i zielony strój zdecydowanie pasowałaby do jej rudych włosów. Z pewnością każde z nas myślało tak samo.

– No dobra, ale jest was trzy, a w bajce są przecież tylko Daphne i Velma. – Słusznie zauważył Theo.

Usta Ruby ułożyły się w literę O. Przeskakiwała między nami zakłopotanym spojrzeniem.

– Ja... – Zacięła się. – No tak. Trzeba wymyślić coś innego. To może... Wiem! – Klasnęła. – Po prostu przyjdźmy wszyscy jako te ludki ze *Squid Game*!

– Czy ja wiem? – Theo podrapał się po szyi. – Miałem inny plan.

– Och... – Ruby ewidentnie rozczarowały jego słowa. – Chciałam... Nieważne. W sumie to dobry pomysł. Niech każdy przyjdzie w tym, w czym będzie się najlepiej czuł.

Obserwowałam ich wymianę zdań, opierając się ramieniem o ścianę. Od Vivien wiedziałam, że ta dwójka była w dość skomplikowanej sytuacji. Ruby zauroczyła się Theo i myślała, że on tego nie wie. Natomiast my miałyśmy świadomość, że doskonale zdawał sobie sprawę z jej uczuć, ale nie chciał tego przyznać, żeby nie psuć między nimi relacji. Trzymał to w tajemnicy, bo nie odwzajemniał tej fascynacji.

– Ja się nie wybieram – poinformowałam ich, żeby przekierować uwagę z widocznie przygasłej Ruby na siebie.

– No daj spokój, dopiero co wróciłaś do szkoły. To nie domówka, tylko nudny bal. Pójście na drętwą imprezę szkolną to kolejny krok do... – Ruby przerwała, widząc moje zaskoczenie jej otwartością. Wbiła się głębiej w puf. – W każdym razie fajnie byłoby, gdybyś przyszła.

– Tak, chodź z nami. – Theo od razu podjął temat. – Nie ma mowy, że zrobię to, co planuję, jeśli nie przyjdiesz. Jak robić z siebie debila, to tylko z waszą trójką.

– Niepotrzebny ci do tego kostium – wymamrotała pod nosem Vivien.

– Słyszałem to!

– Pomożemy ci się przygotować i będziemy z tobą przez cały wieczór. Nie musisz się niczym martwić. – Vivien wyciągnęła rękę, jakby chciała

mnie objąć. Cofnęła ją, zanim zdążyła mnie dotknąć. Zamiast tego posłała mi ciepły uśmiech.

– Pogadamy o tym później. – Wymigałam się z rozmowy akurat w momencie, kiedy wybrzmiał dźwięk dzwonka na lekcję.

– Masz się po prostu dobrze bawić, nic więcej. Przemyśl to. – Vivien pociągnęła mnie zaczepnie za rękaw bluzy.

Odpowiedziałam jej lekkim uśmiechem.

Trudno było mi się skupić na reszcie lekcji. Naprawdę nie chciałam iść na żaden bal, ale dręczyło mnie przeczucie, że jeśli tego nie zrobię, to ich rozczaruję.

Po ostatnich zajęciach wyszliśmy z dziewczynami z klasy, a chwilę później dogonił nas Theo.

– Idziemy na sushi? – spytała Vivien, chowając książki do szafki.

– Tylko jeśli potem pójdziemy na automaty. – Chłopak uśmiechnął się łobuzersko, bo dobrze wiedział, że każda z nas uważała je za nudne. On zaś bardzo nie lubił sushi.

– Nie musisz iść, jak nie chcesz. – Viv trzasnęła drzwiczkami szafki. – A wy, dziewczyny?

– Mogę iść, nie mam nic do roboty. – Ruby wzruszyła ramionami.

– Ja chyba przejdę się do biblioteki – odpowiedziałam, na co trzy pary oczu zwróciły się w moją stronę.

– Pójdziemy z tobą – zaproponowała Vivien, zerkając na resztę. – Prawda?

– Nie trzeba, dzięki. Lećcie na jedzenie, pójdę z wami innym razem. Dawno nie widziałam pani Hooge, chciałam zobaczyć, co u niej – odparłam, starając się zabrzmieć normalnie, lecz mimo to zobaczyłam niepewność na twarzach przyjaciół. – Dam sobie radę, serio.

Kolejna wymiana spojrzeń.

– Jak uważasz, Kathy – stwierdziła nieprzekonana Vivien. – W razie czego dzwoń.

– Jasne, dzięki. – Skinęłam głową.

Pożegnałam się ze wszystkimi i zostałam jeszcze przez chwilę przy szafkach. Prawdę mówiąc, nie zamierzałam iść do biblioteki, ale to brzmiało

lepiej niż „nie pójdę z wami na sushi, bo zamierzam przeryść resztę dnia w poduszkę”. Wtedy na pewno nie daliby mi spokoju.

Założyłam słuchawki i włączyłam *Ego Willy’ego Williama*, odcinając się od całego świata. Spacerując niespiesznym krokiem, ledwo powstrzymywałam się od śpiewania. Wystawiłam bladą twarz do jesiennego słońca. Cieszyłam się, że o tej porze roku mogłam robić to bez konsekwencji. Latem najczęściej chowałam się w cieniu przez nadmiernie wrażliwą skórę.

Piękna pogoda w akompaniamencie ulubionej muzyki powinna poprawić mi humor, ale zamiast tego wprawiła mnie w nostalgiczny nastrój.

Pół godziny później przekręciłam klucz w zamku żelaznej furtki. Wyszłam na teren posiadłości i udałam się brukowaną ścieżką do domu. Po drodze zerknęłam na kwiaty rosnące w ogródku. Vivien razem z jej mamą uparły się, że będą go doglądać, ja nie miałam do tego głowy ani chęci. Zastanawiałam się, czy trzeba podlać rośliny. Jesień w Daverton od samego początku była mocno deszczowa, więc uznałam, że chyba nie.

Gdy tylko przekroczyłam próg, przywitał mnie zimny, mokry nochal i ogon merdający tak szybko, że jeszcze chwila i by odleciał. Szczęśliwy psiak w domu to najpiękniejszy widok, jaki tylko istniał.

– Cześć, Pianusiu. Co tam dzisiaj porabiałaś? – Głaskałam ucieszonego owczarka po głowie, jednocześnie szukając smyczy w szufladzie. – Dawno nie byłaś sama tyle czasu, co?

Przypięłam smycz do obroży i wyszłyśmy. Spacer nie trwał długo, bo zaskoczył mnie deszcz. Szare chmury przyprowadziły ze sobą nieprzyjemny, chłodny wiatr. Zdążyłyśmy przejść zaledwie dwie ulice, zanim zawróciłyśmy.

Rozpadało się na amen.

Pobiegłyśmy z Pianką pędem w stronę domu. Ciężko sapiąc, zatrzymałam się na zadaszonym tarasie. Po miesiącach leżenia w łóżku nie miałam kondycji, przez co mój oddech rwał się nawet po tak krótkim biegu. Pies wpatrywał się we mnie jakby ze zdziwieniem, po czym zaczął się otrząpywać. Pisnęłam, obrywając błotem.

– Dzięki. Serdeczne dzięki – fuknęłam, puszczając zwierzę przodem.

Weszliśmy do środka. Zazwyczaj witała mnie głucha cisza, lecz tym razem dom wypełnił się stukotem deszczowych kropel, przez co zrobiło się bardzo klimatycznie.

Zdjęłam mokre buty, mój wzrok powędrował do błotnistych śladów na panelach. Odruchowo się spięłam na ten widok, ale zaraz się uspokoiłam.

Nikt cię nie skarci. Nikt już nie ustala zasad.

Zawołałam Piankę, razem poszłyśmy do łazienki na parterze. Zdjęłam spodnie i skarpetki, zostałam w samej bieliźnie i lepiącej się do ciała koszulce. Weszłam do przeszklonego prysznica w tym samym momencie, w którym włochaty dezerter zaczął wycofywać się z pomieszczenia. Podparłam się pod boki.

– No, wskakuj. Nie myśl, że cię to ominie.

Pianka odwróciła się i przekręciła lekko łeb, wsłuchując się w moje słowa. Westchnęłam, uświadomiwszy sobie, że przecież nie rozumiała wszystkiego, co do niej mówiłam.

– Do mnie – wydałam komendę, którą od razu zrozumiała. Wleciała błyskawicznie do kabiny, a ja zamknęłam za nią szklane drzwiczki.

Podczas mycia Pianka jak zwykle próbowała chwycić zębami strumień wody ze słuchawki prysznicowej, co skutkowało salwami śmiechu. Mój pies był najczęstszym powodem radości.

Po myciu osuszyłam ciemną sierść ręcznikiem, a następnie wypuściłam mokrą bestię z łazienki. Przyszedł czas na mnie.

Zrzuciłam z siebie resztę ciuchów, włożyłam je do pralki i weszłam pod prysznic. Gęsta para w mig pokryła wszystkie szyby.

Stałam w biczującym skórę strumieniu wody i myślałam o przeszłości. Wspominałam. Pozwoliłam łzom mieszać się z wodą znikającą w odpływie prysznica. Nie chciałam ich widzieć.

Zamknęłam oczy, pochyliłam głowę. Podparłam się rękoma o kafelki. Miałam wrażenie, że zaraz się przewrócę.

Przed oczami stanął obraz z tamtego dnia. Rodzice leżący na ziemi. Krew. Pozytywka.

Wiele oddałabym, żeby spędzić z nimi choć jedną, krótką chwilę. Zapytać „dlaczego?”.

Nie wolno było im odchodzić. Jeszcze nie teraz.

Zacisnęłam zęby i wzięłam kilka głębokich wdechów. Zakręciłam wodę, po czym sięgnęłam po miękką, biały ręcznik. Myśl o Vivien robiącej pranie na moment rozgoniła ponure wspomnienia.

Chwilę później siedziałam w salonie w luźnej, czarnej koszulce i dresach. Wilgotne włosy moczyły ubranie, ale zupełnie się tym nie przejmowałam.

Trzymałam w rękach szeleszczący blister.

To ostatni raz.

Połknęłam maleńką pigułkę bez popijania wodą. Uśmiechnęłam się cierpko na myśl o tym, co powiedzieliby rodzice. Siedziałam sama w salonie, w rękach miałam dwie definicje swojej słabości: tabletki i paczkę paprykowych chipsów. Obraz godny pożalowania.

– Chrząć się. Już was nie ma, więc gównieście do powiedzenia – wyplułam słowa, po których wcale nie zrobiło mi się lepiej.

Nie zarejestrowałam momentu, w którym pokój zaczął znikać. Delektowałam się chwilą, podczas której w mojej głowie nie było żadnych głosów: ani tych dołujących, ani karcących. Została tylko ciemna pustka, a za oknem ulewny deszcz, któremu towarzyszył przyjemny szum.

Obudziłam się, gdy Pianka zaczęła szczekać. Zamglony wzrok odnalazł brązowy punkt wpatrujący się w drzwi wejściowe.

– Co jest? – spytałam, ale oczywiście nie doczekałam się odpowiedzi. Pianka nadal uporczywie ujadła, machając ostrzegawczo ogonem. – Ktoś tam jest?

Wstałam, przecierając opuchnięte powieki. Podeszłam do okna i odsunęłam zasłonę, spodziewając się zobaczyć niezapowiedzianego gościa. O tej godzinie bez uprzedzenia zjawić się mogli jedynie moi przyjaciele.

Zmrużyłam oczy, wpatrując się w ciemność, ale nie udało mi się nikogo dostrzec.

– No dobra, cichutko już. Nikogo tam nie ma – zwróciłam się do niespokojnego psa i zasłoniłam z powrotem okno.

Wtedy usłyszałam dzwonek do drzwi. Pianka zaczęła szczekać jeszcze głośniej, intensywnie wpatrując się w jeden punkt.

– Pianka, do mnie.

Przybiegła, powarkując cicho. Razem podeszłyśmy do drzwi. Z niepokojem zastanawiałam się, jakim cudem ktoś zdołał wejść na posesję. Zawsze zamykałam bramę na klucz.

Wygłądając przez wizjer, zauważyłam, że furtka kołysała się na wietrze.

Była otwarta.

– Cholera... – syknęłam.

Upewniłam się, że drzwi są zamknięte na klucz, po czym odsunęłam się od wejścia.

Pianka obserwowała bacznie każdy mój krok, a ja wiedziałam, że w razie gdyby ktoś wdarł się do domu, to była gotowa do ataku. Jednak to nie wystarczyło. Nie miałam zamiaru jej narażać.

Szybkim krokiem udałam się do kuchni. Podeszłam do wyspy i zanurkowałam dłonią pod blat. Po chwili wymacałam zimny metal, lekkim szarpnięciem odkleiłam go od kamiennej powierzchni. Z kluczem w dłoni podeszłam do szafki przy lodówce, po czym użyłam go do otwarcia środkowej szuflady. Wyjęłam z niej własność ojca, której nigdy nie chciałam użyć.

Tylko na sekundę zawiesiłam wzrok na pistolecie w mojej dłoni. Po krótkiej chwili wahania zrobiłam to, czego godzinami uczyłam się z Internetu: przeładowałam go, odbezpieczyłam i ruszyłam do drzwi. Ścisnęłam mocno broń. Miałam wrażenie, że zimno stali przenikało aż do kości.

Gdy złapałam za klamkę, ponownie rozległ się dzwonek. Prawie podskoczyłam ze strachu.

– Halo? Jest pani w domu? Listonosz! – odezwał się znajomy głos.

Wpuściłam z płuc powietrze, które wstrzymywałam od dłuższej chwili. Czułam spływającą po plecach kroplę zimnego potu, a nogi się pode mną ugęły.

Pośpiesznie schowałam zabezpieczoną broń z powrotem do szuflady, po czym otworzyłam drzwi. Zimny wiatr wtargnął do środka, przynosząc przyjemne uczucie ulgi.

– Wystraszył mnie pan! Nie widziałam pana przez wizjer – powiedziałam z napięciem do listonosza stojącego na tarasie.

– Przepraszam, Kate, chowałem się przed deszczem – odpowiedział, naciągając mocniej kaptur na głowę. Zaciśnięłam zęby na dźwięk zdrobnienia. – Brama była otwarta, więc pomyślałem, że wejde, żebyś nie musiała moknąć.

Zmusiłam się do uśmiechu, wyrażając wdzięczność starszemu mężczyźnie. Pan Foster to emeryt dorabiający na roznoszeniu poczty. Zdążyłam zamienić z nim kilka słów, odkąd przeprowadziłam się do Daverton, a że był strasznym gadułą, to znałam prawie cały jego życiorys.

– Co się stało, że pracuje pan tak późno?

– Zepsuł mi się dzisiaj rower, więc przez tego skurczybyka mam po uszy roboty. – Machnął ręką z irytacją.

– Mam nadzieję, że szybko uda się skończyć.

Wzięłam od niego korespondencję, na którą składało się kilka rachunków, podpisałam odbiór i się pożegnałam. Zamknęłam drzwi na klucz, po czym udałam się do salonu. Usiadłam na miękkiej kanapie obok pustej paczki po chipsach. Dopiero wtedy poczułam, jak stres zaczął odpuszczać, a mięśnie na całym ciele rozluźniały się stopniowo. Przez tę sytuację pozostałam strasznie spięta.

Przeglądałam przesyłki, aż natrafiłam na coś ciekawego. Uniosłam kopertę bez danych nadawcy. Widniał na niej jedynie mój adres i imię. „Katherine”.

To jedno słowo budziło we mnie niezrozumiały niepokój.

Zamrugałam dwa razy, po czym otworzyłam przesyłkę. W środku znajdowała się zgięta wpół biała kartka, a na niej treść nadrukowana czarnym tuszem.

Twoi rodzice nie zdążyli spłacić całego długu. Masz dokładnie czternaście dni na zebranie pierwszych dziesięciu tysięcy, jeśli nie chcesz do nich dołączyć. Zostawisz je w kopercie na ich grobie, a następnie wrócisz prosto do domu.

Zmarszczyłam brwi. Byłam pewna, że ktoś postanowił zrobić mi cholernie nieśmieszny żart, ale wtedy z koperty wypadło coś jeszcze.

Podniosłam przedmiot z kolan i gwałtownie wciągnęłam powietrze do płuc. Poczułam, jak do oczu napłynęły mi łzy, a serce zabiło mocniej.

Trzymałam w dłoniach srebrny naszyjnik mojej mamy.

Naszyjnik, który dostałam wraz z groźbą, był jedną z cennych pamiątek rodzinnych. Matka zakładała go rzadko, zazwyczaj na wyjątkowe okazje, takie jak firmowe bankiety czy wyjścia do restauracji z ważnymi współpracownikami. Najczęściej jednak widywałam go na porcelanowym stojaku w kształcie połówki kobiecej twarzy. Był schowany w zamkniętej na kluczyk szklanej szafie, tam trzymała większość kosztowności, w tym biżuterię.

Nieraz jako dziecko zakradałam się do jej sypialni, żeby z wypiekami na twarzy podziwiać znajdujący się za szybą czarny brylant w kształcie serca otoczony szesnastoma maleńkimi diamentami. Wyobrażałam sobie, że zakładam łańcuszek z białego złota, wkładam przepiękną suknię i wyruszam na bal, gdzie poznaję przystojnego, ciemnookiego księcia, a całe moje życie się odmienia jak w bajce o Kopciuszku.

Kiedyś ukradkiem podejrzałam, gdzie chowali kluczyk. Raz nawet odważyłam się wyjąć naszyjnik z szafy. Samo to, że trzymałam w dłoniach coś tak ważnego, sprawiało, że w nocy nie mogłam zasnąć. Mama na szczęście nigdy się o tym nie dowiedziała. A może to świadomość, że mogła się dowiedzieć sprawiała, że nie spałam? Nie pamiętałam.

Jakim cudem ta biżuteria znalazła się u kogoś obcego? I dlaczego w ogóle do mnie wróciła?

Był wart tyle, że zapłaciłabym rachunki za dom na kilka następnych miesięcy, a jednak ktoś postanowił go wysłać w ramach groźby, zamiast sprzedać. Jak wielki w takim razie był dług rodziców, skoro ta błyskotka nie wystarczyła na jego spłatę? A może wcale nie chodziło o pieniądze?

Po przeczytaniu tamtego liściku od razu poderwałam się z kanapy i szybkim, pewnym krokiem poszłam do sypialni rodziców. Otworzyłam

drzwi i stanęłam w progu. Rzadko miałam okazję wchodzić do ich pokoju, zawsze robiłam to bez niczyjej wiedzy. Ostatni raz byłam tam kilka dni po ich śmierci, w tamtym momencie naszyjnik pozostał na swoim miejscu. Siedziałam wtedy na podłodze, wpatrując się w niego i wdychając cytrusową woń ulubionych perfum ojca, która wciąż unosiła się w powietrzu.

Później zapach zniknął. Zostało tylko mgliste wspomnienie życia, które niegdyś biło w tym pomieszczeniu.

Podeszłam do szafy z biżuterią, porcelanowa połowa twarzy lypała czujnym okiem, jakby obwiniła mnie o brak naszyjnika. Otworzyłam drzwiczki i oceeniłam, czy zginęło coś jeszcze. Wszystko inne było na swoim miejscu. Zamknęłam mebel, marszcząc brwi. Więc nie chodziło o samą kradzież. Naszyjnik miał posłużyć za groźbę i uświadomić mi, że nie mogłam czuć się bezpiecznie we własnych czterech ścianach.

Wzięli go z mojego domu.

Ta myśl uderzyła we mnie z mocą rozpędanego pociągu. Wcześniej ogarnęła mnie złość z powodu szantażu i kradzieży, ale dopiero teraz zdałam sobie sprawę z czegoś tak oczywistego. Ktoś wszedł do mojego domu i zabrał własność mamy mimo zamontowania alarmu antywłamaniowego oraz wymiany zamków.

Od razu wróciłam do salonu, zadzwoniłam do firmy ochroniarskiej i poprosiłam o wykaz wpisywania kodów. Zapewniono, że urządzenie cały czas działało i nie zostało uszkodzone. Chwilę później dostałam plik na maila. Długo analizowałam każdy wiersz z datą i godziną, ale nie potrafiłam przywołać w pamięci wszystkich chwil, w których ja albo pozostała dwójka wyłączaliśmy alarm. To było jak błądzenie we mgle.

Pospiesznie udałam się do drzwi. Nie znałam się na takich urządzeniach, ale wymacałam je i zajrzałam do każdej szparki, chociaż nie wiedziałam nawet, czego szukać. Po chwili się poddałam.

Wszystko wyglądało w porządku.

Przez sekundę przeszło mi przez myśl, że może to Viv albo Theodor, ale nie wzięłam tego na poważnie. Nie chciałam. Nie mogłam. Nie oni.

Nie umiałam sprzedać domu, ale jednocześnie nie potrafiłam w nim zostać. Przeszukałam Internet, żeby zorientować się w cenie wynajmu kawalerki. Jeśli wynajęłabym coś długoterminowo albo przeniosła się do motelu, to musiałabym rzucić szkołę i pracować na pełen etat. Przecież potrzebowałam też pieniędzy na jedzenie dla siebie i Pianki, na środki higieny i tak dalej. Może dałabym radę uszczuplić wydatki i wykorzystać gotówkę pozostałą w domu, ale to rozwiązanie na krótką metę. Co potem?

Rozmasowałam skronie i przymknęłam zmęczone oczy. Wołałabym nie angażować w to nikogo, ale nie miałam wyboru. Postanowiłam na jutro poprosić Viv albo Theo o przygarnięcie mnie pod swój dach do czasu, aż nie wymyślę czegoś lepszego.

Tamtej nocy prawie w ogóle nie spałam. Wsłuchiwałam się w grobową ciszę przerywaną jedynie spokojnym oddechem Pianki. Kilka razy miałam wrażenie, że słyszałam kroki na korytarzu, ale po sprawdzeniu całego domu, z psem u nogi i bronią w ręku, nikogo nie odnalazłam.

Z samego rana byłam zbyt zmęczona i zdenerwowana, żeby w ogóle myśleć o wybraniu się do szkoły. Zamiast tego poszłam na pocztę.

– Przykro mi, ale nie wolno mi udostępnić nagrań. Tak jak mówiłam, proszę się zgłosić na policję. Tylko im możemy wydać rejestry z kamer – oznajmiła młoda kobieta siedząca po drugiej stronie szyby.

– Dziękuję – rzuciłam, odwróciłam się na pięcie i pośpiesznie wyszłam z poczty.

Byłam wściekła.

Gdybym dostała dostęp do zapisów z kamer, to przesiedziałabym tam cały dzień albo nawet i dłużej, żeby tylko zobaczyć, kto wysłał ten cholerny list.

Już wcześniej podejrzewałam, że nikt nie pokaże mi nagrań ot tak. Wstyd się przyznać, ale miałam nadzieję, że wezmę pracownika poczty na litość. Liczyłam na to, że będzie kojarzył mnie z telewizji albo gazet. Śmierć rodziców nie przeszła bez echa. Przez pierwszy miesiąc ten temat pozostawał na ustach mieszkańców, a w mediach i prasie był szeroko

komentowany jako straszna tragedia w Daverton. Mimo że miasto nie należało do najspokojniejszych, to wydarzenie wyjątkowo wstrząsnęło lokalną społeczność. Przecież szanowana, bogata i ważna rodzina Harvey była nową dumą tego miejsca.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy sprawca sam zgłosił się na policję. Mieszkańcy nie mieli się już czego obawiać, więc temat ucichł, zastąpiony kolejnymi interesującymi nowinkami, takimi jak pojawienie się straganu z ekologicznymi jajkami na rynku czy przyłapanie przez dziennikarkę gubernatora na zdradzie.

Niestety mój plan nie wypalił. Kobieta pracująca na poczcie nie zgodziła się na udostępnienie nagrań. Pozostało jedynie poczekać na Viv i Theo, a potem iść na policję. Potrzebowałam ich wsparcia przed tym krokiem.

Ta potrzeba dała mi do myślenia. W którym momencie przestałam być „Katherine wszystko sama” i stałam się „Katherine i przyjaciele”? Czy to oznaczało słabość, czy właśnie siłę, bo potrafiłam zaufać i wpuścić kogoś do swojego życia?

Po powrocie z poczty od razu skierowałam się do pokoju rodziców. Zamknęłam za sobą drzwi, po czym osunęłam się na podłogę. Chciałam odciąć się od całego świata.

Ciepłe łzy spływały po policzkach, tworzyły wodospady żalu, cierpienia i bezradności. Z gardła wydobył się niekontrolowany szloch, po którym już nie powstrzymywałam emocji. Krzyczałam, zatapiając dłonie we włosach.

To nie powinno tak wyglądać.

Wszystko, co mnie otaczało, wyglądało tak, jakby mieszkańcy tego pokoju wyszli na chwilę z zamiarem rychłego powrotu. Szlafrok przewieszony przez krzesło czekał na właściciela, tak samo jak butelka niedopitej wody na mahoniowym biurku.

To nie miało się tak skończyć. Może jeszcze kilka lat temu cieszyłabym się z ich śmierci, ale od jakiegoś czasu miałam zupełnie inny plan.

Niestety, moi rodzice po raz kolejny zrobili mi na złość.



– Zgłosisz to na policję? – spytał Theo, wyraźnie rozemocjonowany opowieścią o tajemniczej groźbie.

Vivien również była poruszona, ale wydawała się bardziej przestraszona niż zła.

Grzebałam widelcem w ziemniaczanym purée, tworząc prowadzące donikąd ścieżki. Siedzieliśmy we trójkę przy wyspie kuchennej, jedząc posiłek. Theo przygotowywał kanapki z szynką, a Vivien zrobiła tosty. Ja zaś odgrzałam sobie na patelni obiad z poprzedniego dnia.

– Tak. Ktoś włamał się do domu, a ja nawet nie miałam o tym pojęcia. Zawsze zamykam wszystkie drzwi na klucz, a alarm został uruchomiony, więc jakim cudem wszedł do środka? Kominem? A potem zaczarował system antywłamaniowy? – Rozłożyłam bezradnie ręce.

– Święty Mikołaj to raczej nie był. Może kiedyś przypadkiem zostałaś otwarte drzwi albo balkon? – dopytywał Theo, nerwowo stukając palcami o blat.

– Alarm by to wyłapał.

– W takim razie jest do kitu. Wymień go – polecił.

Skinęłam głową.

– Nie podaliście nikomu kodu, prawda? Ani nie zapisaliście go tak, żeby ktoś mógł przeczytać? – zapytałam ostrożnie. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to jak obwinianie.

– Nie no, coś ty – odpowiedział od razu Theo.

Vivien jedynie pokręciła głową, po czym skończyła jeść i powiedziała:

– W każdym razie, tak jak rozmawialiśmy, na razie zostaniesz u mnie. – Podeszła do zlewu i zaczęła zmywać naczynia. Miałam zmywarę, ale ona zawsze uparcie robiła to ręcznie. Twierdziła, że to kwestia przyzwyczajenia.

– Jasne, dziękuję. Może szybko znajdą tego gnoja po odciskach palców czy coś – oznajmiłam bez przekonania.

Bardzo się cieszyłam, że pomieszkam chwilę u przyjaciółki, ale nie potrafiłam tego okazać. Nie było mowy o tym, żebym spędziła kolejną bezsenną noc w domu, do którego ktoś się włamał, nie zostawiając żadnych śladów. Gdy Viv i Theo przyszli, od razu zapytałam o możliwość nocowania u któregoś z nich. Zgodzili się bez problemu. A w mojej głowie znów pojawiła się myśl, że nie zasłużyłam na takich przyjaciół.

Po wspólnym posiłku zamknęłam się w łazience. Zdejmując dresową bluzę, myślałam o tym, co powiedzieć na komisariacie, przez to zagapiłam się i zapomniałam odwrócić od lustra. Westchnęłam. Chciałam się ustawić do niego tyłem, ale coś mnie powstrzymało.

Za szkłem wpatrywała się we mnie postać, która wydawała się obca, choć bardzo dobrze ją znałam.

Brązowe włosy spływały kaskadami wzdłuż ciała. Przy nasadzie były zupełnie proste, a dopiero na wysokości brody zaczynały się falować. Podobne jak u mamy, bujne i falowane. To chyba jedyny „podarunek” od niej, z którego się cieszyłam.

Sińce pod oczami przybrały szarofioletowy odcień, co w połączeniu z przekrwionymi białkami i bladą cerą sprawiało, że wyglądałam jak zombie. Byłam przyzwyczajona do tego obrazka, towarzyszył mi nieustannie od ponad roku. Nawet nie miałam nadziei na to, że kiedyś ujrzę w lustrze zdrową, radosną twarz i błyszczące oczy.

Powiodłam wzrokiem po wychudzonym ciele. Nie chciałam tego widzieć, jednak nie potrafiłam przestać patrzeć. Gdy dotarłam do brzucha, nie wytrzymałam. Miałam ochotę zbić lustro gołymi rękami, lecz zamiast tego chwyciłam najbliższy ręcznik i zasłoniłam gładką taflę, tym samym ukrywając demony przeszłości.

Oparłam się o zimną, wykafelkowaną ścianę i zamknęłam oczy. Chłód wręcz szczypał skórę pleców, skutecznie odwracając moją uwagę. Oddychałam głęboko, starałam się uspokoić szalejące serce. Udało mi się dopiero po kilku minutach.

Przez ten chwilowy atak paniki zdążyłam oblać się potem. Postanowiłam wziąć zimny prysznic, po czym wskoczyłam w szerokie, dżinsowe

spodnie i zdecydowanie za dużą koszulkę. Nawet nie spojrzałam na kosmetyczkę, jak zwykle zrezygnowałam z makijażu.

Następnie nieśpiesznie zeszałam na dół, by poinformować Vivien i Theo, że wychodzę. Odnalazłam ich w salonie, oglądali jakiś dziwny film, w którym właśnie wielki pajak rozmawiał z astronautą w statku kosmicznym.

– Idę na komendę, wrócę niedługo – oznajmiłam.

– Czekaaj, przecież idziemy z tobą! – rzucił chłopak, wstając z kanapy, przy czym prawie rozlał kawę. – Cholera.

– Nie, zostańcie – powiedziałam, co poskutkowało zaskoczeniem wymalowanym na ich twarzach. – To niedaleko, a ja chcę po drodze zebrać myśli. Będę cały czas pod telefonem, udostępnię wam lokalizację.

– Daj spokój, z nami będzie ci raźniej. Poza tym niedługo się ściemni – nalegała Vivien.

– Nie, serio. Poczekajcie na mnie w domu. – Odwróciłam się i skierowałam do wyjścia, nie dając im możliwości odpowiedzi.

– Hej, Kathy! – wołała za mną, gdy zamykałam drzwi. Słyszałam, jak wstała i wyszła z salonu, żeby mnie dogonić, więc przyspieszyłam kroku.

Naprawdę potrzebowałam się przejść w samotności. Szczególnie po tym, co stało się w łazience. Nie chciałam, żeby byli świadkiem kolejnego załamania albo ataku paniki.

Plecy prosto, podbródek do góry, Katherine.

Zamknij się. Och, po prostu się zamknij.

Szybkim krokiem ruszyłam w stronę komisariatu. Po drodze udostępniłam lokalizację na wspólnym czacie. Chwilę później zaczęłam żałować, że nie ubrałam się cieplej, słońce skutecznie mnie oszukało, było dość chłodno. Objęłam się ramionami, przemierzając opustoszałą ulicę.

Nie wiem, czy to z powodu wędrowania myślami gdzieś daleko, czy może przez złudne poczucie bezpieczeństwa spowodowane przebywaniem na mieście w biały dzień, ale nie zauważyłam, że od jakiegoś czasu ktoś za mną szedł. Zorientowałam się dopiero wtedy, gdy dotarł do mnie intensywny zapach, a sekundę później poczułam dłoń na ustach. Wciągnęłam

gwałtownie powietrze do płuc przez nos. Chciałam się odwrócić, ale napastnik złapał mnie w tali i wepchnął w wąską, zacienioną uliczkę.

Próbowałam krzyczeć, jednak z gardła wydobywał się jedynie stłumiony dźwięk. Wyrываłam się i szarpałam, usiłując odsunąć przyciśniętą do ust dłoń, aż zatrzymaliśmy się za kontenerem.

– Cicho – wyszeptał męski głos tuż nad moim uchem.

Wzięłam głęboki wdech, kiedy coś zimnego i ostrego dotknęło mojej szyi. Nadal trzymałam nieznanego za rękę, ale już nie tak kurczowo. Bałam się wykonać jakiegokolwiek ruchu.

Słyszalne pozostały jedynie nasze oddechy, mój – rwący, niespokojny i jego – głęboki, opanowany. Gdzieś w oddali po ulicy poruszały się samochody, a ptaki śpiewały radośnie, zupełnie nieświadome horroru, którego bohaterką właśnie byłam.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał. – A, tak, złożyć zeznania.

Skąd...?

Zastanawiałam się, czy to nie stanowiło po prostu głupiego żartu. Jednak sposób, w jaki brutalnie zaciągnął mnie w ślepią uliczkę, i poważny ton głosu wcale na to nie wskazywały.

– Myślałem, że wyraziłem się jasno. Nie szkoda ci życia? – kontynuował, a ciepły oddech musnął moje ucho. Włoski na karku stanęły mi dęba. – Bo dla mnie twoje życie jest bezwartościowe. Zostałaś sama, Katherine. Zupełnie sama na tym wielkim świecie, gdzie nikt cię nie obroni, jeśli pójdziesz na policję, a na grobie twoich rodziców w wyznaczonym dniu nie pojawi się konkretna kwota. Rozumiesz?

Wiem. I rozumiem.

Miałam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Łzy spływały na męską dłoń. W pewnym momencie kciukiem przesunął po moim policzku tak, jakby chciał zetrzeć słony ślad, po czym znieruchomiał. Po chwili cofnął palec.

– Kiwnij głową, jeśli rozumiesz, co do ciebie mówię.

Kiwnęłam.

– Daj mi swój telefon.

Posłusznie wyjęłam urządzenie z kieszeni i podałam napastnikowi. Smartfon zniknął z mojego pola widzenia. Chwilę później dostałam go z powrotem.

– Mam twój numer. Teraz cię puszczę, a ty się nie odwrócisz, pójdziesz prosto do domu. Nie powiesz nikomu o naszym spotkaniu. Niech twoi przyjaciele myślą, że zgłosiłaś sprawę, a za kilka dni poinformujesz ich, że złapano gościa od listu. Nikt się nie dowie o naszej małej umowie. Masz zostać w domu, żadnych przeprowadzek. Będę twoim cieniem, będę deptał ci po piętach. Jeśli zrobisz coś inaczej, to znajdę ciebie i każdą osobę, na której ci zależy, nawet na końcu świata, i zrobię coś o wiele, wiele gorszego niż teraz.

Wystawił demonstracyjnie zza moich pleców dłoń w czarnej, skórzanej rękawiczce. Trzymał w niej nóż. Otworzyłam szeroko oczy i wstrzymałam oddech, gdy zbliżył przedmiot do mojej twarzy. Poczułam, jak ostrze przejechało po szyi, zagłębiając się coraz bardziej w skórę. Zaczęła szczypać. W pierwszej chwili zamarłam, a do głowy wpadła mi niespodziewana myśl:

A gdyby...?

Straciłam rodzinę i sama dobijałam się z każdym dniem coraz bardziej. To nie było życie, a egzystowanie w wiecznej obawie o to, kiedy w końcu dopadnie mnie przeszłość.

Dlaczego nie miałabym umrzeć już teraz?

Czułam coraz większe pragnienie, żeby po prostu odpuścić. Poddać się, nie bać już każdego cienia czy dźwięku.

Nie. Nie mogłam.

Nie teraz i nie w taki sposób.

Nie wolno mi było się poddać i kolejny raz narażać bliskich. Odpuszczenie to zbyt proste rozwiązanie, a ja nie zasługiwałam na łatwe zakończenie. Miałam zupełnie inny plan.

Pisnęłam, próbując się wyszarpnąć, ale poskutkowało to jeszcze większym bólem.

– Nie rzucaj się.

Zimna stal oderwała się od skóry, a nogi się pode mną ugięły. Mężczyzna poczuł to, bo złapał mnie mocniej w pasie i przycisnął do swojej twardej klatki piersiowej.

– Teraz cię puszcza. Pamiętaj o naszej umowie. – Zabrał ręce i się odsunął, dzięki czemu mogłam zacząć głęboko oddychać. Drżałam na całym ciele ze strachu, ale zebrałam w sobie tyle odwagi lub głupoty, żeby odezwać się do napastnika:

– Jak mam wytłumaczyć rozcięcie? – spytałam półszepem, dotykając zranionego miejsca. Gdy oderwałam dłoń od skóry, ujrzałam krew.

– Jesteś mądrą dziewczynką, Katherine. Na pewno coś wymyślisz.

– Co zrobili moi rodzice? Skąd ten dług?

– Nie wiesz? – zapytał. Milczał przez chwilę, a gdy nie odpowiedziałam, oznajmił: – Poszperaj trochę w ich dokumentach. Poczytaj o leku, który wyprodukowali. Nazywał się Morph.

Zmarszczyłam brwi, szukając w myślach jakiegokolwiek wzmianki na ten temat, ale niczego nie pamiętałam. Nie rozumiałam, co ten lek miał wspólnego z szantażem, ale zamierzałam się dowiedzieć.

– Aha, i nie zmieniaj kodu do drzwi. Trzy, osiem, pięć, jeden mi się podoba.

Zamarłam. Ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Kim ty w ogóle jesteś?

– Już mówiłem, Katherine. Jestem twoim cieniem. A teraz idź, czas na rozmowę się skończył.

Cholernie mnie kusilo, żeby się odwrócić i zobaczyć, kto za tym wszystkim stał, ale wiedziałam, że wtedy raczej nie miałabym szans na ucieczkę.

Zakrywając zakrwawione miejsce dłonią, ruszyłam przed siebie.

Pierwsze kroki na trzęsących się nogach były trudne, ale gdy tylko się upewniłam, że jestem w stanie iść, przyspieszyłam.

Nie spojrzałam za siebie przez całą drogę do domu.